

JACEK BIERUT

DRUGI DZIEŃ WIOSNY

WYDAWNICTWO J, WROCŁAW 2025

Fragment 1

– Tego tu nie było!

Stopa nie mógł się odwrócić, ale poczuł ruch za nogami. I powietrze. Suche. Nawet świeże.

– No i to się stało. Nie ma się już czym martwić.

– Co?

– Sam zobacz. Kulpa mać. Bawią się nami.

Stopa wczółgał się w przestrzeń. Albo stało się inaczej, to przestrzeń urosła. Tyle miejsca po jednym szybszym ruchu w tył. I pełnoskalowy korytarz w prawo. Oświetlony. Czarne kable po suficie. Ostonki żarówek ze zbrojonego szkła. W prawdziwych oprawkach. Nawet zakurzone. Strzałki wskazujące kierunek. Przecież to i tak jedyny kierunek. Wstał. Wyprostował plecy. Naciągnął mięśnie barków i ud. Wsparł się o kolana. Oblizał krew z wargi. Niewiele to dało. Przetarł twarz rękawem.

– Przecież go nie było – Werbel chyba wierzył, że jak to powie, to coś się zmieni.

– Chcą, żebyśmy tędy poszli.

– Nie idę. Pitolę. Nie idę. Nigdy nikogo nie zdradziłem. Czego chcą?

– Nie wiesz?

– Nigdy nikogo nie zjadłem. Nie idę.

Spróbował się wcisnąć w korytko do sypialni kacapów. Ale nie było już w co.

– Takich jak my kiedyś wpychało się pod łód. A teraz? Nie ma przejścia. Zasypali. Zabetonowali. Przecież tego nie mogli wykuć tak w kilka minut. W skale.

– A ekrany? Mogli zrobić ekrany?

– Nie chcę nic o tym wiedzieć.

– Zawsze nie chcemy wiedzieć tylko o tym, co wiemy.

Werbel nie odpowiedział. Zrobił kilka kroków. Bez przekonania. Oparł się o ścianę. Pochylił głowę.

– Wszyscy z bidula poszli gdzieś do pracy albo siedzieć. Tylko, kurtka, my.

– Żałujesz?

– Tak! Że nie ma reinkarnacji. Wszystko bym inaczej. Wszystko. Powiedziałbym mu, że jeśli to robi, zabiję.

– Za mały byłeś.

– Każdy może zabić.

– Mogłeś go zabić. Po tym.

– Po tym to już nic nie zmienia. Też mogłeś zabić.

Werbel położył obie dłonie na oczach. Prawą klepnął się w lewą. Ale zaraz popatrzył w górę. Jak człowiek, który przygotowuje się do narady. Nie poruszał się, ale poruszał się jego cień na ścianie.

- Myślisz, że tu ktoś biega i zawiesza te żarówki?
 - Oni teraz na nas patrzą.
 - We wszystko uwierzysz. Niech patrzą. Patrzcie – Werbel splunął na podłogę, bo to można było nazwać podłogą.
 - Nie możemy tu tak stać i stać.
 - Ale tam nie ma żadnego dobrego zakończenia.
 - Ale powietrze stamtąd idzie. Mniej wilgotne. I chłodniejsze.
 - Frajer jesteś. Puścili ci jakiś nawiew na wabia. Tam nie ma żadnego wyjścia. Nigdy stąd nie wyjdziemy.
 - Podaj definicję wyjścia.
 - Możesz tak się pytać? Ja się pytam. Możesz wciskać takie gówno?
 - Chodź.
 - Dokąd? Ja się pytam.
 - Działaj z tym, co masz do dyspozycji. Masz inne propozycje? Oni od nas czegoś chcą. Bo żyjemy.
 - To nie mogą powiedzieć? Eeee! Czego!? Macie jakiś problem?
 - Nie rozumiesz, że właśnie nam coś mówią?
 - Kto? Bo na pewno nie jakieś kacapy bez butów.
 - Ty byś chciał, żeby ci się jeszcze podpisali. Idę.
 - Kto to był? Ten w kocu?
- Poszedł. Werbel wytarł smarki o kciuk i palec wskazujący. A palce o ścianę.
- A jak, że żona i narzeczona, to jak to się rozdziela?

Fragment 2

Ta gnojowa na szczęście pojechała dalej. Muszynka całą drogę stała przy ostatnich drzwiach. Gnojowa przy pierwszych. Nawet na siebie nie spojrzały. Zupa, w której jest samo gęste, rzadko smakuje. To słowa wujka. Obie chyba nie były zbyt zadowolone. Muszynka wysiadła przystanek przed teatrem. Wstrzymała oddech, wstrzymała bicie serca, całą swoją istotę skupiła na wyczuciu kierunku. Wiedziała, że coś się dzieje. Takie rzeczy się czuje. Z prostopadłej uliczki z góry schodziła w jej kierunku banda z technikum elektronicznego, ale czuła, że to nie ten kierunek. Poznała ich od razu. Chyba już każdy z nich próbował do niej startować. Mieli się za lepszych. Chodzili w pumpach. Mieli za długie blondaskowate grzywki zaczesane na boczek. Rozjaśniali je octem. To widać. Słuchali Republiki. Zamawiali dzin z tonikiem. Nigdy piwo. Pieniądze nosili wprost w kieszeniach i kiedy za coś płacili, wyciągali wszystkie na wyprostowaną dłoń, żeby mogła zobaczyć i pobieżnie przeliczyć. Fakt, mieli pieniądze. Każdy z nich złożył już przynajmniej jedną wieżę z pozdobywanych części. Każdy pierwszą sprzedał i robił drugą na zamówienie, a dopiero trzecia miała być „dla siebie”.

– Pierdolę, nie będę się żenił tylko dlatego, że wpadła. Niech se w liceum szuka frajera, tam ich pełno – krzyknął jeden, a reszta trochę rechotała, trochę przytakiwała.

Na rogu stał esbek, ale inny. Ze strony esbeków nie groziło jej niebezpieczeństwo. Chroniła ją nie tylko legitymacja z prawdziwą pieczętką i fakt, że esbecy nie potrafili rozmawiać z pięknymi dziewczynami. Po prostu się ich bali. Bali się upokorzenia. Lubiła z tego korzystać. Poszła w górę, ale po drugiej stronie uliczki, żeby nie mijać się z tymi z elektronika.

– Dokumenty! – krzyknął za nią. Nie znała go. Rozsądniej było się zatrzymać. – Dokąd to?

– Na komisji jest mój kolega. Muszę od niego pożyczyć zeszyt do fizyki, bo jutro klasówka. Pan tego nie zrozumie, siłę przyciągania ziemi profesor pozwala zaokrąglić do 6,674, ale masę Ziemi trzeba sobie przeliczyć na kilogramy. Umie pan?

– Na kilogramy?

– Właśnie. Przyjmijmy, że to 5,97 razy dziesięć do dwudziestej czwartej. To akurat łatwo policzyć. Ile pan waży?

– To ja zadaję pytania.

– Widzi pan. Ale i tak, żeby obliczyć, jakiej siły trzeba, żeby wyrzucić pana w kosmos, trzeba znać promień Ziemi. Oczywiście, jeśli przyjmiemy, że Ziemia jest idealną kulą. A nie jest. Zna pan? Każde dziecko zna promień Ziemi.

- Dokumenty. Gdzie na komisję? Wy sobie nie zdajecie sprawy z rzeczywistości.
- Jak się zna promień Ziemi, można. Zna pan?
- Bo zaraz inaczej pogadamy.
- Nie zna pan. Tacy jak pan nic nie wiedzą. Tylko im służcie. Niech pan idzie za mną. Tak, kilka kroków z tyłu, jakby pan mnie śledził. Założymy się, że wejdę?
- Dokumenty.

Ten wydawał się przynajmniej jako tako rozgarnięty. I na tym polega jego porażka. Robi te rzeczy, ale bez przekonania. Chciałby robić inne, i to takie, których nikt by się po nim nie spodziewał.

- Wie pan co, już mnie dziś tyle razy sprawdzaliście, że może rzeczywiście, zamknijcie mnie i będę miała spokój. Już mnie ręka boli od tych dokumentów. Tylko wyciągać i chować. A wy to ledwo umiecie przeczytać. Wy tak po prostu im służycie? Mnie to już nie bawi. Ludzie was w końcu potraktują jak wściekłe psy.

Poszła. Ryzykowne, ale nie poszedł za nią. Nie krzyknął. Oni naprawdę nie wiedzą, co robić, jak widzą, że ktoś się ich nie boi. Ale dotąd nie pognębiała ich promieniem Ziemi. Nawet jej się spodobało. Muszynce i tak nic nie mogli zrobić. Miała wujka w esbecji. Nikomu o tym nie mówiła, ale lubiła zadzierać z esbekami przy świadkach, to budowało jej pozycję nie mniej niż uroda. Tak, tajny wujek w esbecji dawał poczucie pewności siebie. I to dobrze działało na innych, bo pozwalali sobie dzięki temu na więcej. I esbek na ulicy już nawet sam w siebie nie wierzył. A kiedy taki wpada we własną pustkę, odśłania słabe strony ich wszystkich. Ale byli przydatni. Wujek nawet paszport potrafił załatwić. Już ona by go przekonała, żeby załatwił dwa. Bo miał ruchliwe rączki. Nawet przy wigilijnej kolacji. I bardzo bał się swojej matki. Muszynka przecież mogłaby zagrozić, że poskarży się babci. Ciekawe, czy Elce też tak robi? Z daleka zobaczyła, który to budynek. Przed wejściem pełno chłopaków. Palili. Niektórzy przyszli sprawdzić, co ich czeka jutro, niektórzy już po wyrok. Raja zobaczyła od razu. Kudłaty grubas. Nie ma takich więcej w mieście. Koło niego Waciu. Hrabiego nie dostrzegła. Ledwo się do nich precisnęła.

– I co?

- Czekamy. Tną dziś świrusów po równo – Waciu zaciągnął się tak mocno, że chyba poparzył sobie palce. Ale tego nie poczuł. – Przesrane. Marynarka albo nie świrusujesz i dwa lata na zwykłym poligonie w błocie. Taka zasada. Tylko trzeba zdecydować przed wejściem. Wiara pęka. Wchodzą, opuszczają gacie, wychodzą. Same A jeden dziś leci. Nawet na platfusa i żylaki.

– I oczekiwali syna jego z niebios, który nas wyrwał od gniewu przyszłego – Raju, niemal śpiewając, podniósł do góry święty obrazek. Raju jej nie obchodził. I tak by się nie zmieścił do łodzi podwodnej.

– A on gdzie?

– Nie wysiadł.

Nie na wszystko istnieją słowa. Istnieją myśli i pytania, które nie pokrywają się z językiem ani mową, tylko wloką dokądś dalej. Jak to nie wysiadł? Skoro nie wysiadł, to i słowa runęły w przepaść. Te, co są, i te, które mogłyby być. Te, co dają ochronę, i te, które mogłyby dać.

– Jak nie wysiadł?

– Normalnie. Autobus się zatrzymuje, my wysiadamy, drzwi się zamykają, on jedzie dalej.

– Przestraszył się? On?

– Się wcale nie przestraszył.

Boże. Waciu chyba chciał ją podręczyć. Wiadomo, że się nie przestraszył. Nie on. Dopiero teraz to zauważyła. Waciu miał nastroszone włosy. To ze strachu. Mózg ze strachu postawił mu włosy na sztorc. Ale jeśli się nie przestraszył, to co? W jego przypadku mogło to być tylko coś najważniejszego na świecie. A co jest najważniejsze? Boże.

– A co?

– Lepiej nie wiedzieć.

– I co teraz?

– Niech on się martwi.

– Ale jakośmy doświadczeni byli od boga, żeby nam była zawierzona ewangelia, tak mówimy, nie jako się ludziom podobając, ale bogu, który doświadcza serc naszych.

Muszynka niby wciąż nie rozumiała, ale nie mogła odnaleźć tego, co ją dotąd chroniło. Bezczelnych i jasnych myśli. Został niemy amok.

– Mów! – zwróciła się do Wacia. Zagroziła wręcz.

– A co ja wiem?

– Mów, bo... – nie mogła znaleźć właściwego słowa, ale nie musiała.

– Zabiłabyś mnie. Zaraz zresztą moja kolej. Dopalę i idę.

– Mów!

– Nie powiem.

– Ty gadaj – zwróciła się do Raja, już spokojniej.

– Niewiasta niech uczy się w milczeniu wszelakim poddaństwem.

– Ja ci dam niewiasta! Ty! Palancie ty! Mówisz? Albo się nigdy do ciebie nie odezwę. Nigdy!

– On ci tego nie powie – wtrącił się Waciu. – Zabiłabyś go.

– Żyje?

– Żyje.

– To co?

– Nie mogę ci tego powiedzieć, bo się nigdy do mnie nie odezwiesz.

Powietrze było w miarę spokojnie. Słyszeć było ptaki. Zwariowały. To już wiosna. Wszyscy wokół się zainteresowali. Rozmowy ucichły. Wszyscy się odwrócili tak, żeby lepiej słyszeć. Nawet ci w pumpach. Podeszli bliżej.

– Mów!!!

– Przecież jak ci to powiem, to będziesz wołała ogłuchnąć.

– Cały jest?

– Cały.

– To co? – Muszynka zawiesiła to pytanie tak wysoko, że nie musieli już mówić. Dotarło. – Zakochał się? – spytała niemal szeptem.

– Na to wygląda.

– W kim?

– Miłość cierpliwa jest, łaskawa jest. Miłość nie zazdrości, nie szuka poklasku, nie unosi się pychą, nie dopuszcza się bezwstydu, nie szuka swego, nie unosi się gniewem, nie pamięta złego – Raju powiedział to prawie normalnie, jakby naprawdę się bał.

– W kim?

– Jakaś chyba nie stąd. Torbę miała. Czekala na przystanku. Pojechał za nią.

– Na dworzec?

– Pewnie na dworzec.

Muszynka chciała rzucić się biegiem. Ale musiała najpierw przebić się przez ciasne kółko wokół nich, żaden się nie odsunął, a każdy z tych gnoi skorzystał ze swoich rączek. Dotknęli dosłownie wszędzie. Rechotali.

– Obłeśni! Obłeśni! – krzyczała, choć ledwo mogła utrzymać się na nogach.

Raju i Waciu nie rzucili się na pomoc. Jak to źle być najładniejszą dziewczyną w mieście, w którym nie ma już prawdziwych mężczyzn, bo taki jest ich los w tym kraju. Jak on mógł?

– Każdy z was za to zapłaci! Każdy!

Oderwała te łapska od swoich piersi. Z pośladków. Z talii. Strząsnęła je z siebie. Rechotali. Biegła.